

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

9 luty 1969
février

Rok wydania XII Nr 6 (590)

Tygodnik Polski

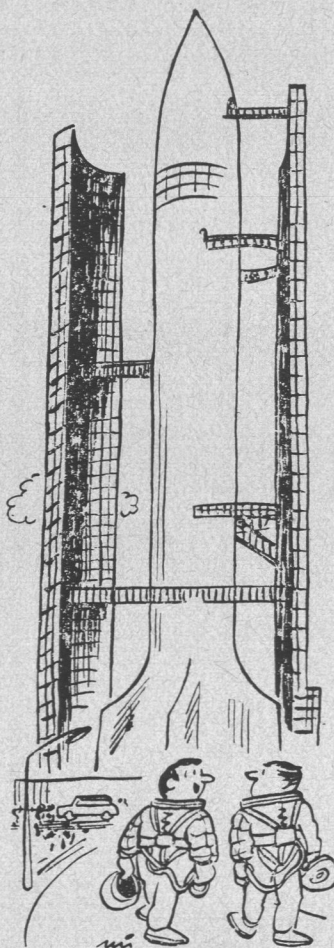
LA SEMAINE POLONAISE



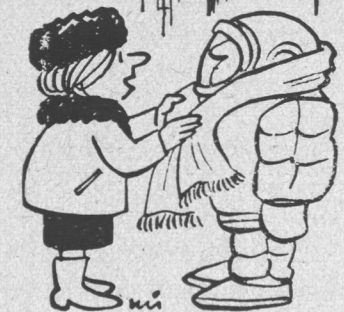
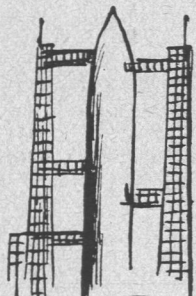
FP 2373

KOSMOAKTUALNOŚCI

Gwidona Miklaszewskiego



— I pomyśleć, że ojciec zabraniał mi wspiąć się na drzewa...
— Et dire, que mon père me défendait de grimper sur les arbres...



— Weź szalik, bo będzie ci chłodno, gdy w kosmosie wyjdiesz ze statku.
— Prends un cache-nez, car tu auras froid dans le cosmos en sortant de la cabine.

W TYM NUMERZE POLECAMY:

- „Moje pierwsze trzy dni we Francji” — o których mówiono na wielkim spotkaniu w naszej redakcji s. 8—9
- „Cud we Włoszczowej”, który zdarzył się naprawdę s. 23
- „Dlaczego Rydz-Śmigły uciekł przed chłopami?” — kulisy uroczystości chłopskich w Nowosielcach s. 12-13
- „Polski przeszczep serca” — pierwsza próba i wnioski z niej wynikające s. 6—7
- „Znojny chleb” — dalszy ciąg po-

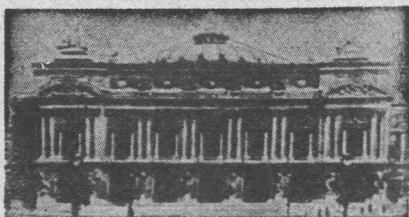
wieści o losach emigranta spod pruskiego zaboru s. 16

- Sensacja: proboszcz z Kiernozi wyjaśnia ostatecznie tajemnicę Marii Walewskiej! s. 19—20

Każdy zaś Czytelnik wie, że w każdym numerze drukujemy: • Wiadomości prosto z Polski • List Grzybka z Nordu • Gawędę Mariana • Kronikę życia naszych kolonii • Rady od serca • Porady prawne • Snort • Rozrywki umysłowe • i całą masę innych ciekawych i pożytecznych wiadomości.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

- Polski szklarz z Nicei • Współcześni Niemcy o Polsce • Aligatory i diamenty.



HOTEL OPERA-LAFAYETTE

CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS^e (Face Square MONTHOLON)

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43
824-41-50

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

W KRAJU JUŻ MYŚLĄ O KOLONIACH

W POLSCE jeszcze zima, śnieg leci z nieba, śnieg leży na ziemi — a już się myśli o lecie dla naszych dzieci: o koloniach polonijnych w Kraju.

Ich organizatorem jest, jak co roku, Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, współdziała Towarzystwo „Polonia”, organizacje społeczne jak harcerstwo. Przybędą dzieci polskie z całego świata: z Kanady i Węgier, ze Szwecji i z Anglii, Austrii i Norwegii no i oczywiście, i to przede wszystkim — dzieci najliczniejszej Polonii w Europie, Polonii francuskiej.

Tegoroczne kolonie letnie będą miały szczególnie ciekawy charakter: przebiegać będą pod hasłem dwudziestopięcioletnia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. A więc dadzą uczestnikom okazję do jeszcze lepszego poznania Polski współczesnej.

Na naradzie zwołanej przez Ministerstwo Oświaty w War-

szawie bardzo dokładnie analizowano przebieg kolonii zesłorocznych i wyciągnięto wnioski. Chcemy podzielić się nimi przede wszystkim z Rodzicami, by mogli swoje pocięchy należycie przygotować do pobytu w Kraju, tak aby korzyść i przyjemność z pobytu odniosły dzieci jak największą.

Otóż stwierdzono, że bardzo często dzieci są zaskoczone programem kolonii. Wyjeżdżają do Kraju z wyobrażeniem, że kolonie letnie to przede wszystkim leżenie na słoneczku, trochę gry w piłkę i... to wszystko. A spotykają się na miejscu z czymś nieoczekiwanym. Wypoczynek — tak, ale i wiele różnych zajęć, wycieczek, spotkań, śpiewów i opowiadań wieczornych przy ognisku — jeśli to obóz, lub w świetlicy, jeśli kolonia (a takich jest większość) mieści się w budynku.

Dlaczego tak? Bo jest to zgodne ze wskazaniami współ-

czesnej medycyny, jej najlepszych specjalistów od spraw wypoczynku. Stwierdzono mianowicie, że tzw. „wypoczynek bierny” — właśnie to przyjemne skądinąd wylegiwanie się, nie jest najzdrowsze dla organizmu. Dziecko w wieku szkolnym czy młodzież pracująca, dla maksymalnego odnowienia sił życiowych w czasie wakacji, potrzebuje wypoczynku czynnego. Trzeba przeplatać, według starannie opracowanego przez specjalistów programu, opalanie się na słońcu z grami sportowymi, wycieczkę do lasu z gawędą w świetlicy, zwiedzanie zabytków ze spotkaniami z ciekawymi ludźmi, którzy mogą młodzieży wiele powiedzieć. Tylko tak ułożone wakacje dają największą korzyść, najlepszy wypoczynek dla ciała i umysłu. Warto więc, aby Rodzice wyłumaczyli to swoim dzieciom przed ich wyjazdem na letnie kolonie w Polsce.

NASZA OKŁADKA



Wśród gości Szklarskiej Poręby spotkaliśmy całą paczkę młodzieży z Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie. Wśród nich kilku wychowanków szkoły Batignolles, Panna Christine Hassine, urodzona w Paryżu, stale mieszkająca w Polsce, trafiła na naszą okładkę.

W NASTĘPNYM NUMERZE



Pan Raymond Winowski po ojcu odziedziczył zamiłowanie do zawodu szklarskiego, znajomość fachu zdobył w Etablissement Gauthier w Ezaville. Tworzy istne cuda! Pokażemy je na zdjęciach i opiszemy.



ZDJĘCIE TYGODNIA:

„Ćwikła” wśród górników

Wielka aktorka polska, pani Mieczysława Cwiklińska, którą wszyscy ludzie teatru nazywają pieczołliwym zdrobnieniem „Ćwikła”, jest wiecznie młoda. Od kilku lat jeździ z końcem w kraniec Polski samochodem z zespołem objazdowym dającym przedstawienia sztuki „Drzewa umierają stojąc”. Na dziewięćset dziewięćdziesiątym przedstawieniu, które dała w kopalni „Wieczorek” dla śląskich górników, miała właśnie ukończone 90 lat. Spiewano jej więc: „Dwieście lat niech żyje nam!”. Życzenie setki byłoby grubym nietaktem!

O PARYSKIM MALARZU PAWLE MAIKU

CIEKAWIE, że Łódź, przed wojną jedno z najbrzydszych miast polskich, wydała tylu artystów. Właśnie tam, w tym wielkim ośrodku przemysłu, w zaniedbanych i brudnych dzielnicach fabrycznego miasta pojawiło się tyle talentów. Wielu spośród łódzkich artystów wye migrowało z Kraju i przywędrowało do Francji. Jednym z nich jest znany paryski malarz **Paweł Maik**. Pochodzi on z rodziny artystów, ale muzyków. Siostra jego jest pianistką, brat — skrzypkiem wirtuozem. Wpływ środowiska był na tyle silny, że pan Paweł został również muzykiem, wprawdzie amatorem, ale nie byle jakim, wiolonczelistą. W jego pracowni obok stalug, na których znajduje się ciągle nowe rozpoczęte płótno, stoi zawsze wiolonczela i gdy artysta znużony już jest malowaniem, bierze do rąk instrument. Daje mu to chwilę odprężenia, oderwania się od codziennej pracy, od form, barw, linii, i pogrążenie na kilka chwil w atmosferze dźwięków.

Gdy przyjechał do Paryża, trafił w ciekawe środowisko malar- skie, skupione wokół oryginalnej cylindrycznej budowli w pobliżu rue de Danzig. Zbudowano ją w 1889 r. jako pawilon win na wystawę międzynarodową. Z czasem nazywano ją „barcią” — La Ruche. Stała się ona ulubionym, miejscem spotkań malarzy, rzeźbiarzy. Paweł Maik odziedziczył

w La Ruche dawne atelier malar- za Renouarda. Tutaj spotkał Heydena, Mondzaina, Lipszyca, Kislinga, którzy przybyli również z Polski, a niektórzy nawet z Łodzi.

Z Kislingiem, Sutinem i poetą Zborowskim pracował w r. 1915 z łopata w rękę, przy piasku. Przez trzy lata uczęszczał do École des Beaux Arts i uczył się malarstwa u bardzo modnego wówczas portrecisty François Flamen- ga. Właściwą szkołą jego była jednak nie akademія, ale Louvre. Przebywał tam ciągle. Podczas częstych i długich wizyt w muzeum formowała się osobo- wość tego artysty. Wpatrywał się w arcydzieła, analizował techni- kę mistrzów, brał lekcje bezpo- średnio u malarzy średniowiecza, renesansu i epok późniejszych. Szczególnie bliscy byli mu Mem- ling i Rembrandt, potem Renoir.

Kopistą jednak nie był nigdy. Od czternastego roku życia, kie- dy namalował swój pierwszy obraz, „Świętego Michała Archani- oła”, stale szukał swojego włas- nego wyrazu w sztuce i zrezyg- nować z tego nie chciał. Nawet w najtrudniejszych sytuacjach, kie- dy musiał ciężko pracować fi- zycznie, nie załamywał się. War- to bowiem wiedzieć, że Paweł Maik aż do emerytury po- święcając tyle czasu studiom i poszukiwaniom w malarstwie, pracował jako kreślarz w fabryce.

I w ten sposób dojrzewał ta- lent tego malarza, rozwijał się w klimacie kultury francuskiej, ale jednocześnie, zachowywał w sobie tyle polskości!

Początki pracy Pawła Maika w Paryżu, jeszcze w okresie I woj- ny światowej, łączą się ze wspo- mnieniem wielkich nazwisk arty- stów-malarzy, jego Rodaków, jak: Hayden, Kisling, Mela Muter, Ta- deusz Makowski. Dzięki zręczno- ci, którą posiadał od dzieciństwa, robił Paweł Maik pomysłowe, bar- dzo ładne lalki i inne zabawki, które wystawiał w Musée des Arts Décoratifs wraz z grupą swoich sławnych już wtedy przyjaciół. Jednocześnie zaczął wystawiać i obrazy w salonach: Vrais Indé- pendants, Surindépendants, Salon d'Automne, w innych salonach i licznych galeriach, których już nawet nie jest w stanie sobie przypomnieć.

W latach, które nastąpiły po II wojnie światowej, talent malarza rozwinął się bardzo szybko. Nad- szedł okres twórczości bardzo ob-



„Zgoda” — jeden z najsłynniejszych obrazów Pawła Maika

fitej, w tematach, kompozycji i stylu znalazły wyraz zupełnie no- we koncepcje. Krytycy uznali wkład Pawła Maika w sztukę współczesną, reprodukcje jego obrazów pojawiły się w poważ- nych, reprezentatywnych pracach na temat malarstwa ostatnich lat. Podczas tej przemiany pro- gramu i rzemiosła artystycznego powiedział artysta: „Sztuka jest wewnętrznym, dogłębnym wyra- zem, który nie dochodzi do głosu dopóty, dopóki nie opanuje się rzemiosła”. Powiedział to w okre- sie, kiedy stworzył nie tylko oryginalne malarstwo, ale własn- ą, zupełnie nową technikę.

Pełną analizę twórczości Pawła Maika, który ciągle pracuje i wzbogaca swój dorobek twórczy,

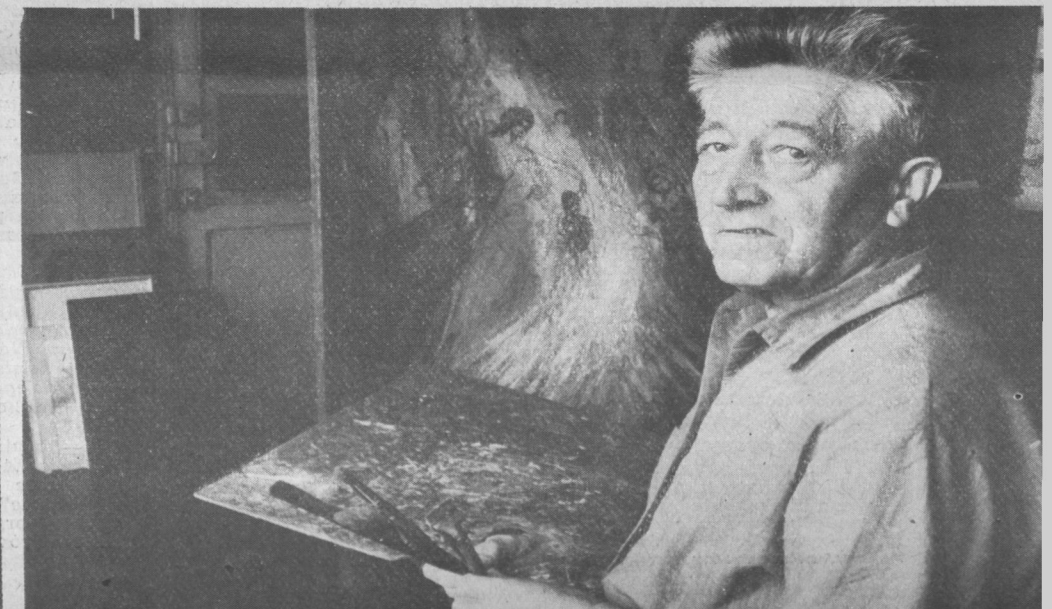
przyniosła niedawno doskonałe napisana, broszura Raymonda Charmeta. Wydana została bardzo starannie, wraz z wieloma kolo- rowymi i czarno-białymi repro- dukcjami dzieł Maika, przez „Les Cahiers d'Art-Documents”. Praca ta przedstawia osobowość mala- rza w sposób bardzo interesujący, ukazuje jego ewolucję twórczą i przedstawia w sposób krytyczny jego dzieła. W toku swych wy- wodów krytyk ten stwierdza, że malarstwo Pawła Maika zapisało się trwale w dziejach sztuki świa- towej, doczekało się powszech- nego, zasłużonego uznania.

Foto W. SŁAWNY

Dzieci są ulubionym tematem prac malarskich paryskiego malarza



Twarcz człowieka, kwiaty, sen — częsty przedmiot obserwacji Maika



CZY DOBRY ROK ANDRZEJA WAJDY?



Zdjęcie podczas realizacji filmu „Wszystko na sprzedaż”: A. Wajda i jego żona Beata Tyszkiewicz

JEDNYM z najwybitniejszych dziś polskich reżyserów filmowych, twórcą znanym i cieszącym się w wielu krajach dużym autorytetem jest Andrzej Wajda. Przez wiele, wiele lat był on dla polskich i zagranicznych kinomana przed wszystkim (jeśli nie jedynie) twórcą „KANALU” oraz „POPIOŁU i DIAMENTU”. Te dwa wielkie filmy o losach wojennego pokolenia w okresie Powstania Warszawskiego i bezpośrednio po zakończeniu wojny obszły dosłownie cały świat i przyniosły mu wysokie nagrody na najważniejszych międzynarodowych festiwalach, w Cannes i Wenecji. Przyćmiły też pierwszą część okupacyjnej trylogii o młodziźnie polskiej walczącej o niepodległość — „POKOLENIE” — debiut filmowy Wajdy z 1954 r., w którym dziś bez trudu wykryć można wszystkie cechy talentu reżysera.

Przez kilka pierwszych lat temat wojny i okupacji fascynował Wajdę bez reszty. Aż do „LOTNEJ” i „SAMSONA” z 1961 r. artysta obsesyjnie wręcz drażył różne aspekty polskiego losu między wrześniem 1939, a majem 1945 r. Jego namiętne filmy, pogrążone bez reszty w dyskusji i sporach dzielących bohaterów, nie zawsze spotykały się z aplauzem krytyki i widzów. W wywlekanu na światło dzienne obrazów osobistych i narodowych klęsk widziano „szarganie” narodowych świętości, pesymizm, nawet nihilizm. Barokowa forma, skłonność reżysera do bogatej ornamentyki, do symbolizmu — denerwowało odbiorców przywykłych do naturalistycznej konwencji.

NIEMAL NIE ZAUWAŻONY przeszedł w Polsce jednym w tym okresie film Wajdy będący odstępstwem od epoki wojennej: „NIEWINNI CZARODZIEJE” (1960). Nikt nie dostrzegł w nim — lub nie chciał widzieć innego Wajdy, sceptycznego satyryka, który bezlitośnie demistyfikował wspólną młodzież, zdzierał z twarzy rozliczne maski, tropiąc pod nimi prawdziwą twarz, szukając fejtwarzy... i nie wahając się twierdzić, że nie zawsze ją znajduje.

Film uznano za artystyczną pomyłkę, odmówiono mu wręcz znaczenia. A jednak obok „Noża w wodzie” R. Polańskiego i autobiograficznej tetralogii J. Skolimowskiego (który zresztą był współautorem scenariusza „Niewinnych czarodziejów”) —

był to przez długie lata jedyny film o młodziźnie mówiący o niej coś więcej poza banałami.

POTEM NADSZEDŁ KRYZYS. W sześcioleciu 1961—1967 Wajda nakręcił 4 filmy, w tym tylko jeden w Kraju: „POPIOŁY”. Wielką rozmiarami i wkładem pracy adaptacja powieści Stefana Żeromskiego rozbudziła największą dyskusję w 20-letnich dziejach polskiej kinematografii. Przez kilka miesięcy cała dostojnie prasa fachowa i niefachowa nicowała ten film na dziesiątą stronę, na zmianę broniąc i atakując z pasją reżysera, który potraktował klasyczną i uświęconą powieść jako źródło własnej inspiracji.

Trzy pozostałe filmy tego okresu powstały za granicą: w Jugosławii, Francji i Anglii. Różnią się między sobą bardzo. Krótka nowela w międzynarodowej składance „MIŁOŚĆ DWUDZIESTOLATKÓW” według scenariusza J. S. Stawińskiego („Kanał”) ze Zbigniewem Cybulskim („Popiół i diament”) w głównej roli była jak gdyby próbą przegryzienia się przez mur tradycji i kompleksów narosłych po tak wielkim, że aż paraliżującym sukcesie „Popiołu i diamentu”.

Pracując na rachunek obcego producenta nie musiał Wajda mieć ze sobą całego obciążenia, jakim była dla niego i dla Cybulskiego postać Maćka Chełmońskiego, tragicznego i patetycznego symbolu powikłanych polskich losów. Stworzył bohatera „antypatetycznego”, więcej, śmiesznego; więcej: budzącego politowanie i nie mogącego uwolnić się od tego politowania nawet za cenę czynu obiektywnie bohaterskiego.



Najnowsze zdjęcie Andrzeja Wajdy wykonane podczas zdjęć do filmu „Polowanie na muchy”

Andrzej Wajda est sans aucun doute est des plus grands noms, sinon le plus grand, de la cinématographie polonaise. Les critiques du cinéma lui ont consacré de nombreux ouvrages et des milliers d'articles publiés à travers le monde entier; les écoles de cinéma en parlent à leurs élèves et le citent en même temps que Clair, Welles ou Poudovkine. C'est lui qui a fait le renom du cinéma polonais. Chacun de ses films est attendu par les amateurs avec intérêt; après „Cendre et Diamant”, „Kanał”, „Les Cendres”. Wajda fait sa rentrée — après avoir tourné trois films en France, en Yougoslavie et en Angleterre — avec une image intitulée „Tout est à vendre” qui est une sorte d'oeuvre autobiographique. Les critiques polonais sont d'avis que ce film fait partie de la lignée des grandes fresques de Fellini et qu'il fera une carrière internationale. Actuellement, Wajda tourne une comédie très réussie — et pourtant ce n'est pas son genre — intitulée „La chasse aux mouches”. Les milieux du cinéma de Varsovie laissent entendre qu'après ce film, Wajda pourrait tourner une nouvelle image consacrée aux résistants de la dernière guerre d'après des mémoires de Kamiński „Les pierres des barricades”.

noweli znanego autora powieści fantastyczno-naukowych, Stanisława Lema); Bogumił Kobiela i Ryszard Filipiński brawurowo dali sobie radę z groteskowo potraktowanym problemem chirurgicznej zamiany osobowości człowieka w przyszłości wcale już nie tak odległej. Wybuchła sensacja: Wajda robi komedię?

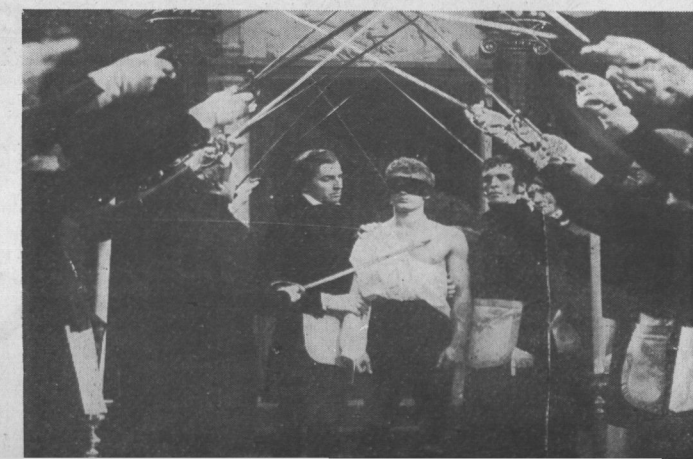
A tak! Właśnie teraz kończy pracę nad znakomitym scenariuszem „POLOWANIE NA MUCHY”, opartym na opowiadaniu młodego reportera i prozaika Janusza Głowackiego. Historia jest następująca:

Pewien dosyć już wyleniały i pozbawiony ambicji młody człowiek wegetuje w kieracie codziennych zajęć, wprężony twardo w rodzinę składającą się z żony, synka, teściowej i teścia. Przypadek wprowadza go w środowisko znajome z lat nie tak dawnej przeszłości akademickiej i stawia na jego drodze młodą dziewczynę, eksplodującą energią i radością życia. Dziewczyna postanawia zrobić z niego człowieka, co więcej: zmusić go do zrobienia kariery literackiej, zdobycia sławy. Obledne pomysły dziewczyny rozbijające się na biernym oporze nieszczęśnika, uszczęśliwianego na siłę — tworzą atmosferę wspaniałej i bardzo jednocześnie poważnej zabawy. To znów będzie film na miarę Wajdy!

A CO BĘDZIE POTEM? Może — jak zapowiedziano — „Piękny poranek dnia” według opowiadania Brandysa. A może coś zupełnie innego? Może spełni się hołubiona od lat nadzieja, że właśnie Wajda przeniesie na ekrany jedną z najpiękniejszych legend polskiego ruchu oporu — „Kamienie na szaniec”.

Oskar SOBĄŃSKI
Foto: J. TROSZCZYŃSKI

Scena z „Popiołów” — w łoży masonskiej Daniel Olbrychski przechodzi pod „sklepieniem żelaznym”



POLSKI PRZESZCZEP SERCA

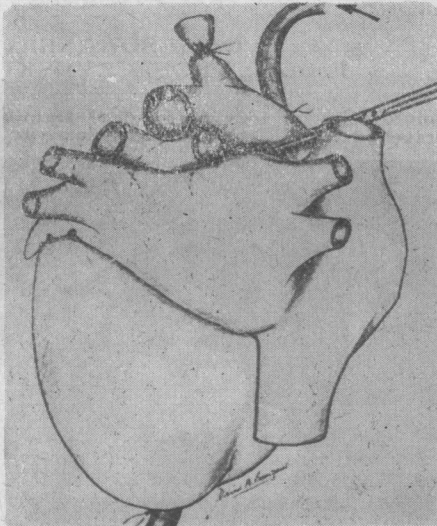
JEDEN z najwybitniejszych kardiologów francuskich prof. Claude d'Allaines w 1967 roku pisał w jednej ze swoich książek: „Przeszczepienie zastawki aorty nasuwa naturalnie myśl o przeszczepieniu całego serca. Czy będzie to kiedyś możliwe? Nic nie uprawnia w tej chwili do pozytywnej odpowiedzi”.

Ta wypowiedź znakomitego chirurga nie wynikała z braku zdolności przewidywania konsekwentnej ewolucji kardiologii, lecz jest jaskrawym dowodem, w jak nieoczekiwanie błyskawicznym tempie nastąpił jej postęp na świecie. Pierwszym lekarzem, jak wiemy, który odważył się przeszczepić człowiekowi serce drugiego człowieka, był prof. Christian Barnard. Za nim wkrótce poszli inni. Dziś, po upływie roku liczba dokonanych w świecie operacji przeszczepienia serca przekroczyła setkę, a wśród tej setki wykonał pierwszą w Polsce prof. dr Jan Moll, kierownik II Kliniki Chirurgicznej Akademii Medycznej w Łodzi, przy pomocy swego zastępcy doc. dr Kazimierza Rybińskiego.

Zanim przedstawię przebieg tego niecodziennego zabiegu — przypomnę w kilku zdaniach zarys rozwoju chirurgii serca w Polsce. Kryteria oceny jej osiągnięć muszą być jednak inne niż w każdym innym państwie. W Polsce bowiem zniszczonej wojną i okupacją pionierski rozwój służby zdrowia był działalnością niemal heroiczną, tworzeniem od podstaw.

Chirurgię serca rozpoczęto już w roku 1945. Pierwsze zabiegi usunięcia obcych ciał z mięśnia sercowego przeprowadza prof. Wiktor Bross we Wrocławiu. Pierwsza operacja przetrwałego przewodu tętniczego zostaje wykonana w 1948 r. w Szpitalu

Serce — obok płuc, mózgu i narządów krążenia — jeden z najważniejszych organów człowieka. Rysunek przedstawia serce dawcy po wycięciu (niżej)



Wolskim w Warszawie. W tym czasie również prof. Jerzy Rutkowski przeprowadza pierwszy zabieg w sinicznej wadzie serca (zespół Fallota). W 1952 r. dr M. Juszczyński dokonuje pierwszej operacji zwężenia zastawki dwudzielnej. Zastosowana przez niego metoda w ciągu roku zostaje rozpowszechniona i uznana za metodę dającą dobre wyniki.

W miarę upływu lat wzrasta ilość i różnorodność zabiegów chirurgicznych, ale wszystkie one; zarówno u nas, jak i na świecie, wykonywane są na „zamkniętym” sercu.

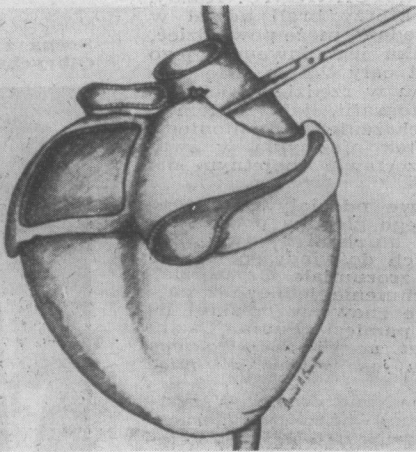
Pierwszy w Polsce zabieg przy zastosowaniu hipotermii wykonał w 1958 roku prof. Bross z Wrocławia. Hipotermia polega na oziębieniu ciała chorego do około 30—28 stopni. W takiej temperaturze krążenie jest mniejsze, serce pracuje wolniej. Oddychanie stosuje się sztuczne. Mniejsze jest też zapotrzebowanie ustroju na tlen, wobec czego przez 6 do 8 minut mózg może obyć się bez dopływu świeżo utlenionej krwi. Jest to czas wystarczający na zamknięcie dopływu krwi do serca przez żyły główne, otworzenie przedsionka lub tętnicy płucnej. Obecnie metodę tę stosuje się szeroko w naszych ośrodkach kardiologicznych.

Krążenie pozaustrojowe za pomocą aparatu płuco-serce wprowadzono w końcu 1959 roku. Wśród różnych typów tych aparatów używanych w naszych ośrodkach na wyróżnienie zasługuje aparatura skonstruowana według koncepcji i projektu prof. Jana Molla.

W latach 1960—62 przy zastosowaniu krążenia pozaustrojowego zaczyna operować prof. Jan Pruszyński w Łodzi, który jako pierwszy w naszym Kraju wstawia sztuczną zastawkę Starra. I wreszcie najnowsza karta historii powojennej kardiologii — to pierwsze przeszczepienie serca w styczniu 1969 roku.

Ten pierwszy zabieg na człowieku przeprowadzono nie dla eksperymentu, lecz dla ratowania życia. Dokonano go metodą prof.

Przygotowanie serca dawcy do przeszczepienia z ominięciem węzła zatokowego. Jest to jeden z dwóch sposobów



Barnarda, której technika operacyjna sprowadza się do pozostawienia jak największej części serca dawcy, co umożliwia operatorowi wycięcie okienek w przedsiionku prawym i lewym dla przyszywania szwu, a równocześnie oszczędzenie przegrody przedsiionkowej, przez którą przechodzą włókna układu bodźcowo-przewodzącego i okolicy węzła zatokowego. Dzięki temu przeszczepione serce podejmuje rytmiczną, regularną czynność własną. Wartość tej metody potwierdza przykład dr Blaiberga, który dotąd żyje.

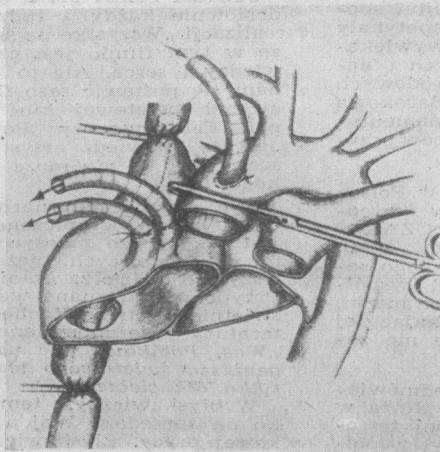
— Dlatego też — mówi prof. Moll — wykonany przez nas zabieg jest po prostu jedną z metod chirurgicznego leczenia, mającą uzasadnienie kliniczne, szczegółowo opracowaną od strony samej techniki operacyjnej oraz postępowania pooperacyjnego. Metoda ta nie jest tylko zbyt szeroko rozpowszechniona, ponieważ nawet tak doskonale wyposażony oraz dysponujący dużym doświadczeniem ośrodek, jakim jest Szpital Sw. Łukasza w Huston, prowadzony przez słynnego prof. Cooley'a, wykonuje tylko sporadyczne zabiegi. Przyczyna? — Opory psychologiczne samych chorych, ich rodzin a często jeszcze i lekarzy. Jak uszyszko, co nowe.

Mówiąc w ten sposób prof. Moll usiłuje zmniejszyć znaczenie tego zabiegu jako nie uwieńczonego pełnym sukcesem. Mimo to jest on niezaprzeczonym dowodem osobistej odwagi tego chirurga i milowym krokiem postępu w rozwoju polskiej kardiologii.

Dla potwierdzenia tego przytoczę słowa nestora chirurgów polskich prof. dr Jerzego Rutkowskiego, wypowiedziane przed kamerą TV po zgonie Washkansky'ego. Zapytany, czy przeżycie 18 dni z przeszczepionym sercem jest sukcesem medycyny — prof. Rutkowski odpowiedział:

— Nie tylko 18 dni, ale nawet

Odbiorca serca. Na rysunku widzimy stan jego zużytego serca po wycięciu. Pacjent ma jednak szanse ratunku



pół godziny jest już sukcesem chirurgii oraz obietnicą, że godziny zamienią się w dni, miesiące i lata.

Jeszcze raz potwierdza się stara prawda, że ceną każdego postępu są niepowodzenia i ofiary.

Jakie wydarzenia poprzedziły historyczny dla polskiej medycyny dzień w II Klinice Chirurgicznej w Łodzi?

Są tu zawsze lecceni chorzy, ciężko chorzy, praktycznie kwalifikujący się do przeszczepienia serca. Jest też odpowiednio wykwalifikowany i przygotowany do takiego zabiegu zespół oraz aparatura — w większości wykonana według koncepcji prof. Molla.

Najtrudniejszy problem stanowi ewentualny dawca. Serca zmarłych w wypadkach, których wielokrotnie przywołano do kliniki, wskutek zmian, jakie w nich nastąpiły, nie odpowiadały warunkom koniecznym dla udania się transplantacji.

Aż nadszedł ostatni dzień roku, w którym kierownik Kliniki Neurologicznej, doc. J. Brzeziński zawiadamia chirurgów:

— Mamy dla was dawcę. Czynności mózgu wygaszone. Sztucznie podtrzymujemy krążenie i oddychanie.

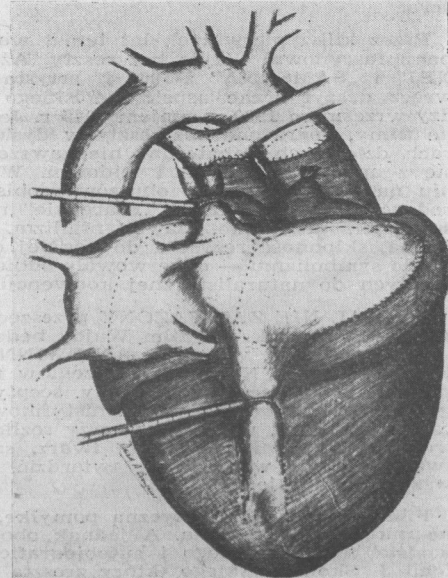
Wieczorem parodniowy odpowiednik prof. Molla w Zakopanem przerywa telefon z Łodzi. Doc. Rybiński informuje:

— Mamy dawcę! Co robić?

— Zmobilizować zespół! Jutro wracam.

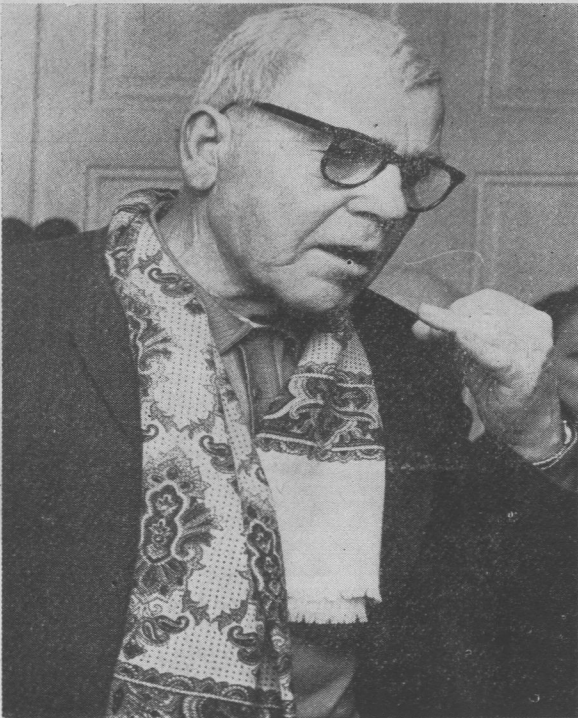
— Już jesteśmy gotowi. Czekaemy!

Zakończenie przeszczepu i uwidocznienie poszczególnych linii szwów; jak widać chirurgia dokonuje cudów



Moje pierwsze trzy dni we Francji

Pierwsze trzy dni na emigracji we Francji. Oczywiście przed laty. W niejednym wypadku nawet przed kilkudziesięciu laty. Mówią o tym poniżej niektórzy z naszych Czytelników:



Stanisław HAŁYS z Anthis Mons:

— Kto jechał na kontrakt do Francji, jechał tak jak ja, z Mysłowic do Toule. Najgorsze było to, że nic człowiek nie rozumiał. Przez innych Polaków znalazłem sobie pokój ze stacją u jednej gospodyni. Ale gdy następnego dnia zginęła suczka, którą widziałem poprzedniego dnia, i dowiedziałem się, że sadłem z niej leczy swoje zaziębienie gospodyni, nie mogłem już tam nic przekonać i musiałem szukać innego mieszkania.



Stefania URBANIAK z Gonesse:

— Tyle nasłuchałam się o Francji, jak to tu jest dobrze, jak to ludzie dobrze żyją, do każdego posiłku popijają wino. Postanowiłam przyjechać i zobaczyć to na własne oczy. Z ciekawością zabrałam się podczas pierwszego obiadu do wina, o którym tyle słyszałam. Byłam zmęczona pierwszym dniem pracy na roli i na to wino cieszyłam się bardzo. Tymczasem ledwie umoczyłam usta, uznałam, że to wcale mi nie smakuje.



Jan SONGIN z Romainville.

— Pochodzę z Wileńszczyzny i gdy po pierwszej wojnie światowej powstało państwo polskie, wiele sobie wszyscy obiecywałam. Niemniej nie było w niej dla mnie chleba i przyjechałem do Francji. Tutaj zacząłem pracować w fabryce i pierwszy okres, kiedy nie miałem gdzie mieszkać, dał mi się porządnie we znaki. Spaliśmy na słomie i przy tej ciężkiej pracy kości bolały bardzo.



Jerzy GUZ z Argenteuil:

— Ja nie mam takich przeżyć, gdyż w 1928 roku przyjechałem do Francji razem z rodzicami. Miałem wtedy sześć lat. Rodzice po wojnie wrócili do Polski, a ja tu zostałem. Niemniej i ja, i moje dziecko mówimy po polsku i o Polsce nie zapominamy.



Zygmunt PUCHALSKI z Paryża:

— Ja do Francji przyjechałem z ciekawości. Dużo się w młodości nazytałem o Francji. Znałem dobrze jej historię, geografie. Po przyjeździe, gdy wszystko zobaczyłem na własne oczy, a równocześnie przekonałem się, że ciężko tu trzeba pracować, żeby się utrzymać, chciałem zaraz z powrotem wracać do Polski. Nie chciałem jednak prosić rodziny o pieniądze na bilet powrotny. I tak zostałem i jestem we Francji do dziś.



ASSEFF z Paryża:

— Jestem z pochodzenia Rosjaninem, ale bardzo z Polakami jestem związany. Przed przyjazdem do Francji byłem jakiś czas w Polsce, mam żonę Polkę. Jednak nie zapamięnałem nigdy, jak zachorowałem w Paryżu, byłem w szpitalu i nadeszły święta. Na sali ze mną leżeli w szpitalu tylko Francuzi. Tymczasem pewnego dnia przyszła jedna pani z konsulatu polskiego i rozmawiałem z nią po polsku. Mimo że jej powiedziałem, iż jestem Rosjaninem, jednak odwiedzała mnie i na święta dostałem z konsulatu paczkę.

Foto: W. Sławny

Opowiadali na przyjacielskim spotkaniu w redakcji „Tygodnika”

Z poczuciem humoru, a czasami z łezką w oku wspominali swoje przygody. W gronie rodzinnym Czytelników „Tygodnika Polskiego” opowieści o własnych przygodach płynęły same, jak przy rodzinnym stole świątecznym.



Jan MICHALSKI z Orly:

— Do Francji przyjechałem z Budapesztu z kolegą w 1923 roku. Miałem przy sobie 11 franków, a mój kolega 3 franki. Ponieważ tyle nasłuchałem się, że za jednego franka można przeżyć cały dzień, więc byłem spokojny. Jakie było jednak moje zdziwienie, gdy po przyjeździe na dworcu wypilem lemoniadę, dałem jednego franka i otrzymałem niewiele reszty. Wtedy to już zrozumiałem, że nie będzie to wszystko proste. Wędrówkę z Gare de l'Est do konsulatu polskiego odbyłem już pieszo.



Józef STRZELCZAK:

— Przyjechałem do Francji z woj. warszawskiego, spod Modlina. Akurat przed Bożym Narodzeniem. W wigilię miałem do jedzenia tylko kawałek chleba i czekoladę. Usiadłem z kolegą na ławce i tak medytujemy, co z sobą zrobić. Nadeszło dwóch mężczyzn i naraz usłyszeliśmy, że mówią po polsku. Jak się ucieszyliśmy! Zapytaliśmy ich, co tu robią. Byli tu już jakiś czas we Francji. Gdy opowiedzieliśmy im swój los, zabrali nas z sobą do domu i w ich gronie spędziliśmy polskie święta.



Marcin SONDEJ z St. Denis:

— Ja przyjechałem na kontrakt do gospodarza na rolę w okolicy Troyes. Gospodarz wyjechał po mnie kołmi na stację. A jako że lubił sobie popić, a ja też nie gardziłem kieliszkiem, to zanim dojechaliliśmy na wieś, w nie najtrzeźwiejszym stanie byliśmy. Świetnie z moim nowym gospodarzem porozumiewaliśmy się wtedy. Dopiero na drugi dzień, gdy zaczęło się normalne życie i praca, jakoś nic nie rozumiałem.



Stanisław KRZYSKOWSKI z Drancy:

— Przyjechałem do Francji w 1930 roku na kontrakt do gospodarza na wsi w departamencie Oise. Gospodarz do mnie po francusku, a ja nic nie rozumiem. Wreszcie doszło do mnie, że mam konia zaprzęgać. Biorę chomąto i chcę je założyć koniowi. Pcham mu je przez głowę, a koń szarpie się do tyłu i nie daje rady. Mówię do konia po polsku, a on z kolei nic nie rozumie. Nie wiedziałem, że we Francji chomąto rozpina się po prostu i nie trzeba pchać przez głowę... Wiele jeszcze z moim gospodarzem było nieporozumień językowych.



Franciszek PYTLAK z Vaujours:

— Przyjechałem do Francji w 1926 roku. Akurat było Franciszka, czyli moje imię. Było mi wtedy bardzo smutno. Nikt mi nie składał życzeń i nawet nie miałem gdzie się podziąć. Ale jako że byłem i jestem do dziś muzykantem, prędko znalazłem orkiestrę i zacząłem grać. Tak się zaczęło, a potem już i grałem, i pracowałem społecznie.

Opracowano na podstawie wypowiedzi Czytelników na spotkaniu w redakcji „Tygodnika Polskiego” w Paryżu.



Kazimierz MOŁENDA z Vigneux:

— Ja jestem z młodszego pokolenia. I może powiem nie całkiem na temat, jaki ma konkurs. Ale chcę wyrazić w imieniu nas, młodszych, wielkie podziękowanie naszym ojcom za ich trud, ciężką pracę dla nas. Bo dzięki nim mogliśmy się uczyć i mieliśmy lepszy i łatwiejszy start życiowy.



Władysław KUBISZYN z Paryża:

— Moje pierwsze dni we Francji zaczęły się inaczej niż starszych emigrantów. Przyjechałem do Francji w 1944 roku. Była wojna i byłem w I Dywizji Pancerniej w Alzacji. Każdy dzień na wojnie był trudny i znoyny. Walcząc tutaj zostałem ciężko ranny. Francji i Polsce oddałem to, co miałem najlepsze — zdrowie.

Z TEMATÓW 50-LECIA

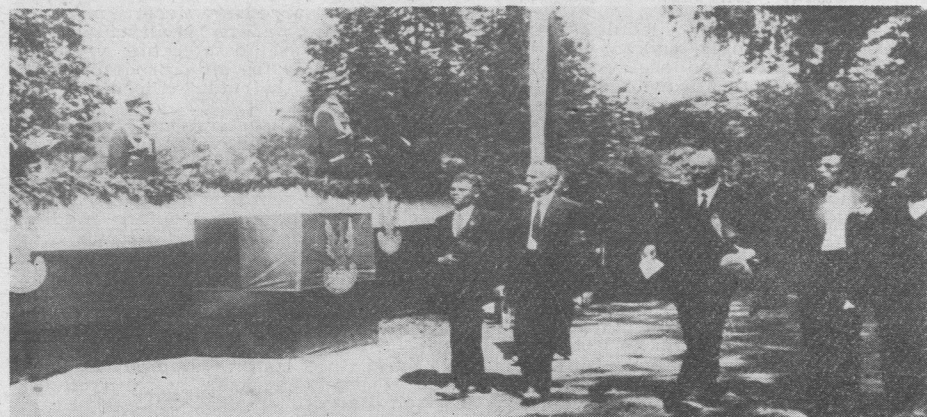
Nowosielce należą do najstarszych wsi w województwie rzeszowskim. Przesłonięciem swoją sięgają na pewno początków mrocznej, nie pisanej przeszłości, chociaż pierwsze historyczne o nich wiadomości pochodzą z końca XIV wieku. O dawności tej prasłowiańskiej osady świadczy także jej dawna nazwa: Nowy Siedlec — od nowego miejsca osiedlenia przed wiekami — z czasem przekształcona na Nowosielce.

TRADYCJA PODAJE, że w roku 1624, kiedy to hordy tatarskie pod wodzą Kantymira zająwszy Ruś Czerwoną zbliżyły się do wsi Nowosielce, ludność jej postanowiła się bronić. Dowództwo objął miejscowy wójt **Michał Pyrz**. Obrońcy, uzbrojeni w widły, siekiery, kosy i cepy, posiadali także zainstalowaną na wieży kościelnej jedną armatę. Strzelał z niej bohater bitwy nowosielskiej **Franek Dudek**, inwalida bez nogi, którą stracił w bitwie pod Cecorą czy Chocimiem. Ustrzelił on wtedy jakiegoś bardzo znacznego dowódcę, którego Tatarzy mieli pochować na wzgórzu. Z tej okazji wzgórze otrzymało nazwę **Tatar**. Jak głosi legenda, wieś broniąca się od 9 do 13 czerwca przetrzymała oblężenie. Tatarzy zostali pobici, a chłopci na czele z Michałem Pyrzem obronili ludność okoliczną przed śmiercią albo hańbą niewoli.

Ku czci bohaterskiego chłopca Michała Pyrza powstała w latach międzywojennych myśl usypania w Nowo-

sielcach kopca - pomnika z ziemi. Inicjatorem był redaktor **Tadeusz Opiola** rodem z Nowosielce. Własnymi rękami chłopci nowosieleccy kopiec usypali, a na św. Piotra i Pawła, tj. 29 czerwca 1936 roku naznaczono uroczystości jego poświęcenia.

Kronikarz i wielki miłośnik ziemi przeworskiej, żyjący do dziś pan **Józef Benbenek**, tak notuje owe wydarzenia: „...Była to największa manifestacja chłopska w dziejach polskich. Brało w niej udział około 120 tysięcy chłopów, w tym około 5 tysięcy banderii konnej, 2 tysiące rowerzystów, 15 chłopskich orkiestr, ponad 200 sztandarów Stronnictwa Ludowego. Uczestnicy przybywali z powiatów: jarosławskiego (ok. 30 tys.), łańcuckiego (25 tys.), przeworskiego (25 tys.), rzeszowskiego i niżańskiego, nadto liczne delegacje z powiatów brzozowskiego, kolbuszowskiego, ropczyckiego, tomaszowskiego, hrubieszowskiego, zamojskiego, okręgu warszawskiego, krakowskiego i Podhalanie z Nowego Targu, byli również reprezentanci z Mazowsza”.

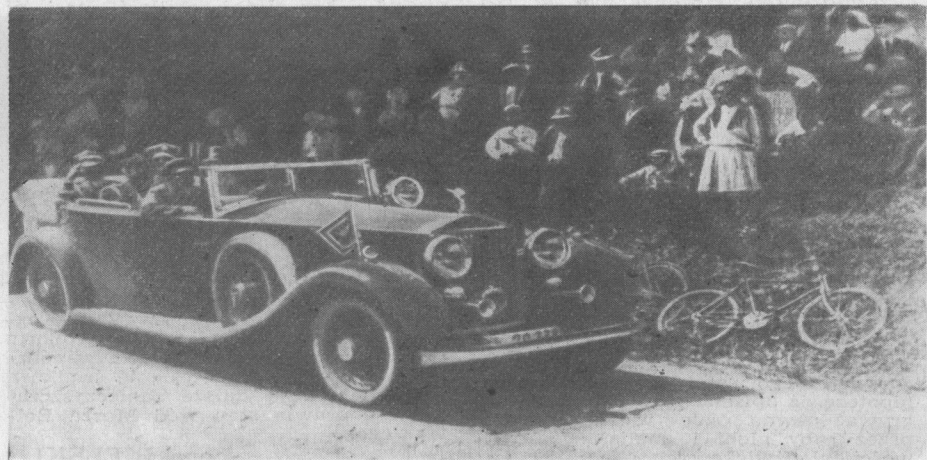


Na czele SL adw. Jedliński niesie memoriał uchwalony przez chłopów



W zwartym szeregu płynął chłopski pochód. Hasłem było imię Witosa

Przedwczesna rejterada gen. Rydza-Śmigłego zaskoczyła wszystkich



KULISY MANIFESTACJI CHŁOPSKIEJ W NOWOSIELCACH

Dlaczego Rydz-Śmigły uciekł z uroczystości? — opowiada...

Dla nie wtajemniczonych dziwny się musi wydawać fakt, że na lokalną w końcu uroczystość przybyła taka masa ludzi. Co było tego powodem?

Chłopi zwołani zostali przez działaczy Stronnictwa Ludowego do wsi **Grzęska**, oddalonej o 6 km od Nowosielce, gdzie na wiecu politycznym o świcie uchwalili rezolucję, którą później wręczyli uczestniczącemu w uroczystościach nowosieleckich naczelnemu wodzowi, generałowi **Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu**.

Rezolucja zawierała m. in. stwierdzenie, że chłopci „nie wyprą się” prezesa swego Stronnictwa **Wincentego Witosa** i innych emigrantów politycznych, którzy w tym czasie przebywali na emigracji politycznej i którzy cierpieli nie za swoje czyny osobiste, lecz za działalność stronnictw, współdziałających pod hasłami obrony prawa i wolności. Zapewniali też chłopci w deklaracji o swojej miłości do Ojczyzny i wielkiej trosce o jej bezpieczeństwo. Żądali zmiany zasad Konstytucji i zmiany polityki zagranicznej rządu, kierowanej wówczas przez Becka i operującej się na współpracy z Hitlerem.

Z niemałym trudem udało się przesowi dr **Bronisławowi Gruszcę** skłonić zgromadzone masy chłopów do udania się na uroczystość w Nowosielcach. Nie chcieli iść na oficjalne spotkanie z gen. Rydzem-Śmigłym; byli zaskoczeni jego przybyciem na chłopską uroczystość. Gruszka apelował więc do rozważli chłopskiej, do cierpliwości i poświęcenia, aż wreszcie o godzinie 8 ruszył pochód z Grzęski do Nowosielce.

W zwartym szyku szedł wielotysięczny pochód. Aż do godziny 5 po południu. Nie wszyscy uczestnicy wiecu w Grzędzie zdążyli na oficjalne uroczystości, taka ich była masa. Jeszcze dziś niektórzy z nich po przeszło 30 latach z podziwu godnym zaangażowaniem rozważają słusność ówczesnej decyzji prezesa Gruszki, aby pochód maszerował piątkami. Są zdania, że byłoby niewątpliwie lepiej, „aby Rydz-Śmigły i ci inni z rządu widzieli, ilu chłopów naprawdę przybyło na uroczystość, i może wtedy poznaliby ich siłę”.

Po mszy polowej i poświęceniu kopca Pyrz przez ks. biskupa **Bardę** rozpoczęła się część oficjalna — defilada wojskowa. Rewię zapoczątkowały samoloty w liczbie 80, następnie szły pułki piechoty przyjmowane przez lud życzliwie — z synów chłopskich przecieży składały się w większości; kawaleria, konna artyleria i czołgi.

Przy dźwiękach ludowej orkiestry w dziesiątym pochodzie szli następnie przedstawiciele Stronnictwa Ludowego z całej Polski, wznosząc ustawiczne okrzyki na cześć nieobecnego nie z własnej winy prezesa **Wincentego Witosa**, a z nimi chłopci, chłopci, chłopci...

Imię **Witosa** było hasłem tego wielkiego chłopskiego pochodu, wymownej manifestacji woli tych, co „żywią i bronią”, z dziada pradziada — niegdyś notariusz, zadośćuczynienia za urażony honor chłopski, za krzywdę, jaką im wyrządzono. U-pominali się o swoje prawa, żądali usunięcia od władzy grupy ludzi skompromitowanych. Chłopstwo podczas tej niezwykłej manifestacji powiedziało swoje twarde i nieustępliwie słowo. Choć szorstkie, ale rzetelne.

Za punkt wyjściowy w naszych poszukiwaniach pozostałych przy życiu uczestników manifestacji obraliśmy **Przeworsk**, miasto powiatowe, do którego Nowosielce należą.

Na środku czystego ryneczku znajduje się stary zabytkowy ratusz. Tu mieści się Miejska Rada Narodowa. Pierwszych informacji udziela nam sekretarz Rady, gdyż przewodniczący wyjechał właśnie do województwa — do Rzeszowa. Z ciekawości reportera, no i z uprzejmości wobec gospodarza, najpierw poruszamy problemy miasta.

Kłopotów jest tu co nie miara, choć Rada Narodowa dokonuje cudów pomysłowości, aby ich ilość zmniejszyć. Najważniejszą sprawą to zatrudnienie coraz większej ilości gotowych rąk do pracy. Nie ma tu wielkiego przemysłu, jedynie duża cukrownia, szczególnie jesienią mogąca dać zatrudnienia większej ilości ludzi. Ale właśnie niedawno rzeszowska WSK otworzyła tu swoją filię. Dało to możliwości zatrudnienia 700 obywatelom **Przeworska** i okolicznych wsi.

Trwająca rozbudowa da w najbliższej przyszłości jeszcze 1500 stanowisk pracy. Trzeba by też wybudować dom kultury, o fundusze na ten cel zabiegają gorąco gospodarze miasta.

Ludzie kochają na Rzeszowszczyźnie swoje strony rodzinne i niechętnie, mimo posiadanych często atrakcyjnych zawodów, myślą o przenoszeniu się gdzie indziej. Trzeba więc starać się o uatrakcyjnienie życia przede wszystkim młodzieży. Zresztą wielu jest chętnych tej inicjatywie. Do takich należy np. pan **Józef Benbenek** — obywatel **Przeworska**.

Usypany rękami chłopów kopiec im...





STACJI OSIELCACH

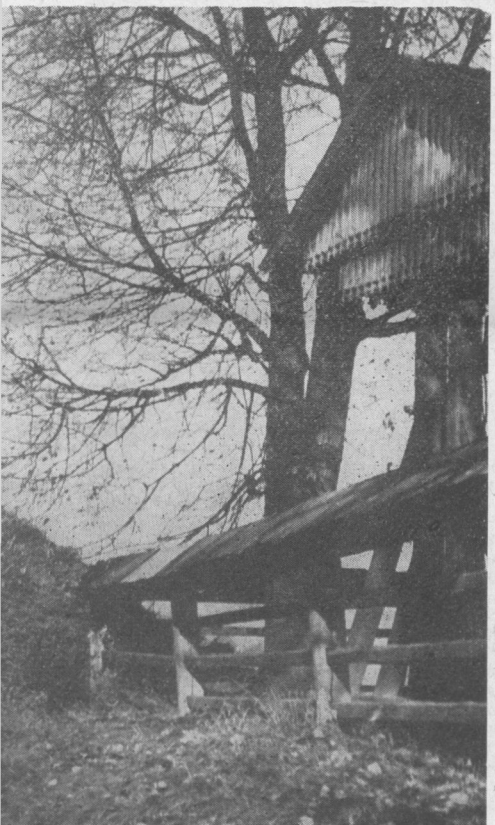
adają świadkowie historii

z dziada pradziada — niegdyś notariusz, dziś na stare lata kustosz Muzeum Ziemi Przeworskiej, którego jest twórcą i założycielem. Przez wiele czasu zbierał dokumenty historii miasta, aż kilka lat temu zrobił z nich prezent społeczeństwu Przeworska. Jest też kronikarzem ostatnich pięćdziesięciu lat miasta i okolicznych wsi. On też dysponuje cennymi materiałami dokumentacyjnymi — zapiskami, zdjęciami, gazetami, sprawozdaniem z uroczystości w Nowosielcach.

Jednym z najstarszych pracowników Miejskiej Rady Narodowej jest w Przeworsku pan Adam Nosek. Jego życie to historia walk najbiedniejszych chłopów tych okolic w okresie międzywojennym o lepsze warunki bytowania.

Podziwu godna jest pamięć Adama Noska, gdy wspomina zajścia w Nowosielcach i w kilka dni później w rodzinnych Krzczowicach, gdzie tragicznie zakończył się jeden z największych strajków chłopów w lipcu 1936 roku. Adam Nosek był w straży porządkowej podczas uroczystości poświęcenia kopca Pyrza 29 czerwca pamiętnego 1936 roku. Z dumą podkreśla porządek, jaki udało się stworzyć miejscowym chłopskim organizatorom:

bohaterskiego wójta Michała Pyrza



„Mimo że władze sprowadziły dużo policji konnej, zażądaliśmy, aby stała ona w oddali. Myśmy to święto zorganizowali i my odpowiadamy za bezpieczeństwo zaproszonych gości” — powtarza słowa, którymi argumentowali owego roku swoją wolę ludowcy wobec policji i starosty.

W opowieści Adama Noska kilkakrotnie powtarza się zdanie, jak to „wkrótce po złożeniu przez przedstawicieli Stronnictwa petycji, gen. Rydz-Smigły uciekł z uroczystości, odjechał o wiele wcześniej, niż to przewidywał zapowiadany program”.

Opowiada również o tym Władysław Kałamarz — ówczesny podsołtys wsi Nowosielce, mieszkający tam do dzisiaj, który był wtedy przez chłopów wybrany na komendanta straży porządkowej całej uroczystości. Przypomina on, że w Nowosielcach „takie były wtedy tłumy ludzi, iż wody w studniach i rowach zabrakło”, ale główna sprawa to Rydz-Smigły i jego rejterada. Dlaczego uciekł, dlaczego nie dotrwał do końca, jak zapowiedział, dlaczego?

Wincenty Witos w swoich pamiętnikach zanotował pod datą 17 czerwca:

„Wieczorem przybył p. Gruszka. Czuję na nim duże zmęczenie i wyczerpanie. Skarży się na niestowność i anarchię, która się przejawia, szczególnie u działaczy ludowych i inteligentów. Zauważa, że dr Jedliński z Jarosławia proponował uwięzienie Rydza-Smigłego, gdy przybędzie na uroczystość poświęcenia kopca chłopca Pyrza do Nowosielce i rozbrojenie pułku wojska, który tam przybędzie. Najgorsze, że on tego nie robi, tylko rozpowiada. Ponieważ Gruszka nie mógł się zgodzić na podobne rzeczy, stąd opowiadanie o braku u niego decyzji”.

W Jarosławiu każde dziecko potrafi wskazać dom, w którym mieszka mecenas Wiktor Jedliński. Starszy pan z piękną białą jak u proroka brodą, człowiek jeszcze dziś o żywym umyśle i ogromnej erudycji, wśród chłopów znany w szerokim promieniu jako przedwojenny obrońca ich spraw. Za swoją działalność w Stronnictwie Ludowym, za walkę o prawa chłopów przesiedział 13 miesięcy w Berezie Kartuskiej.

Od najmłodszych lat związany z ruchem ludowym, adwokat Jedliński przez długi czas pełnił funkcje prezesa Stronnictwa Ludowego w Przeworsku, wiceprezesa zarządu w Jarosławiu, a w latach 1936—1938 także zastępcę członka NKW SL.

— Z racji pełnionych funkcji — opowiada — byłem obok prezesa Gruszki jednym z głównych organizatorów wiecu w Grzescie. Czytając pamiętniki mego wielkiego osobistego przyjaciela i przywódcy duchowego Wincentego Witos, natknąłem się na ten fragment. Ja te sprawy wyjaśniłem już wiele lat wcześniej osobie Witosa, kiedy powrócił w 1939 roku do kraju. Cieszę się też, że mam teraz jeszcze jedną okazję sprostowania wersji p. Gruszki.”

„Od dawna planowaliśmy — kontynuuje dalej p. Jedliński — że uroczystości w Nowosielcach wykorzystamy dla manifestacji naszego stanowiska w sprawie wyroku na Wincentego Witos, żądania zmiany tego wyroku i umożliwienia powrotu do Kraju naszemu przywódcy. Spotkania, których celem miało być szczegółowe omówienie tych spraw, zmuszeni byliśmy odbywać w największej tajemnicy, aby nasz plan stał się zaskoczeniem dla mających przybyć na oficjalną uroczystość członków rządu.

Od zaufanego człowieka dowiedziałem się, że do Nowosielce ma przybyć świeżo upieczony premier Składkowski i gen. Rydz-Smigły. Interesowała mnie wyjątkowo osoba Składkowskiego, który jako szef rządu był w stanie wyrazić zgodę na rewizję niesprawiedliwego wyroku, którym skazano Witosa na więzienie.

Jak wiadomo, Składkowski nie chciał o tym nawet słyszeć. I wtedy, pamiętam, na zebraniu w mieszkaniu jednego z naszych członków — Pawłowskiego z Przeworska, zaproponowałem, aby podczas uroczystości w Nowosielcach porwać i uwięzić Składkowskiego na jakiś czas w chlewie.

W ten sposób skompromitowalibyśmy go zupełnie w oczach społeczeństwa i wykazali brak poparcia dla jego rządu ze strony mas ludowych. Ktoś jednak z uczestników owego zebrania, jak przypuszczam, miał za długi język, bo Składkowski — w porę ostrzeżony — nie przyjechał.

I tak mój plan przestał być aktualny. Dowiedział się o naszych projektach już na miejscu pik Delaveaux z otoczenia gen. Rydza-Smigłego. Żywił



Prawdzywym bohaterem uroczystości był nieobecny Wincenty Witos

on obawę, że ludowcy nie zaniechali swego planu i zastosują go wobec naczelnego wodza i kiedy po oficjalnej defiladzie chłopci nadsiedli w masie, której trudno by się było przeciwstawić, zameldował więc Rydzowi, że chłopci chcą go aresztować, by w ten sposób wymusić zgodę na amnestię dla Witosa.

I wtedy Smigły przed naznaczonym czasem opuścił Nowosielce.” Po prostu uciekł.

Taka jest relacja jednego z niewielu pozostałych już przy życiu uczestników, wtajemniczonego przy tym w kulisy tej największej manifestacji chłopskiej w dziejach Polski przedwojennej, odbytej w maleńkiej wsi Nowosielce, która w ten sposób po raz drugi trafiła na karty historii.

Krystyna MAŃKOWSKA

W Nowosielcach mieszka Wł. Kałamarz. Na zdjęciu z synem i wnukami

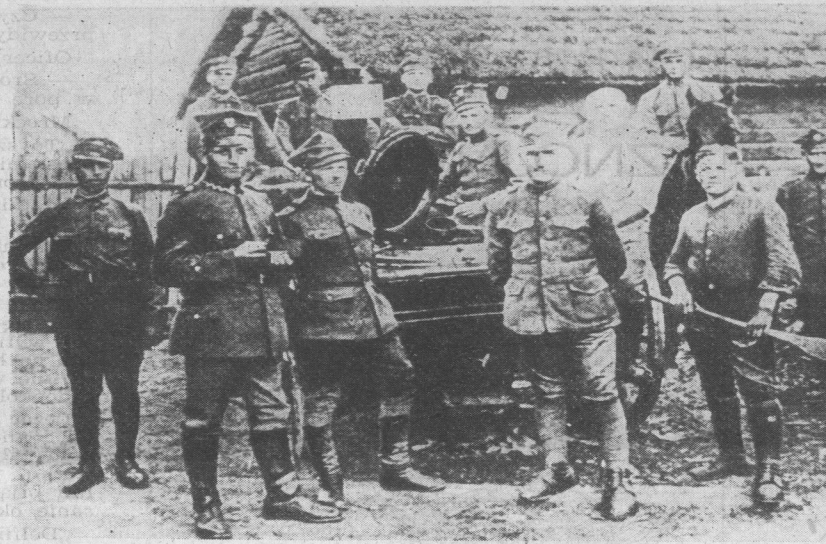


L'INSURRECTION DE GRANDE-POLOGNE



L Y A CINQUANTE ANS prenait fin l'insurrection de Grande-Pologne qui avait éclaté 27 décembre 1918. Ce jour-là, des milliers de manifestants polonais, accompagnés de leurs enfants, drapeaux au vent, étaient venus acclamer Ignacy Paderewski rendant visite à la capitale de cette région historique considérée comme le berceau de la nation polonaise. Poznań était en fête, on célébrait d'avance le retour de la Grande-Pologne au sein de la mère-patrie qui six semaines auparavant venait de recouvrer son indépendance, perdue après les partages de la Pologne. Soudain des coups de feu éclatèrent — les nationalistes prussiens qui ne voulaient pas accepter les résultats de la première guerre mondiale et l'indépendance de la Pologne sortirent dans la rue et se mirent à tirer sur les manifestants. Deux personnes furent tuées sur le coup, c'était deux ouvriers de Poznań — Franciszek Rajczak et Antoni Andrzejewski. Les manifestants polonais passèrent à l'action, ils chassèrent les assassins et occupèrent tous les points stratégiques de la capitale de la Grande-Pologne, appelée également Poznanie.

Deux semaines plus tard, l'insurrection englobait toute



la Grande-Pologne. Les forces patriotiques polonaises avaient pris les armes pour empêcher le retour de cette région purement polonaise à la Prusse haie. Les détachements insurrectionnels occupèrent une ligne de front de 600 kilomètres allant au nord de la Noteć, le long de l'Obra à l'ouest, parallèlement à la ligne de chemin de fer Rawicz-Ostrów-Kejno au sud. Au début de l'insurrection, les détachements polonais comptaient deux mille hommes, deux semaines plus tard ils étaient douze mille, en février 1919 — 72 mille.



Ces chiffres prouvent pleinement que le soulèvement de Poznanie avait un caractère fortement populaire. Un certain nombre de politiciens bourgeois, craignant que l'insurrection ne tourne en révolution lancèrent des appels à la modération. Ils pensaient qu'avec l'appui des alliés de la Pologne il serait possible de maintenir la présence polonaise dans cette région aux grandes traditions historiques. Le peuple était d'un avis différent — seule la lutte armée pouvait assurer le rattachement de la Grande-Pologne à la patrie qui était en train de se façonner. La victoire des forces insurrectionnelles fit qu'au cours de la Conférence de la Paix de Versailles, la Poznanie fut reconnue comme région ethniquement polonaise et rendue à la Pologne.

LE THEATRE SOUS LA BOTTE

L E THÉÂTRE a toujours joué un rôle essentiel dans la vie culturelle, de plus il est considéré à juste raison comme un instrument de première grandeur en ce qui concerne le façonnement de l'opinion. C'est pourquoi l'occupant hitlérien interdit dès les premiers jours de sa présence sur la terre polonaise la plupart des théâtres sinon tous (certaines troupes spécialisées dans le théâtre de variété eurent pendant un certain temps le droit de se produire dans des cafés-concerts). Cela ne voulait nullement dire que les acteurs polonais et les amateurs de théâtre étaient décidés à accepter la situation créée par la Allemands. Dès le mois de février 1940 naquit à Varsovie le premier groupe d'essai qui se consacrait à l'oeuvre de Shakespeare. Les initiatives de ce genre se multipliaient chaque jour. La diversité des formes revêtues par la création dramatique dans les conditions anormales de la clandestinité était absolument stupéfiante; on vit apparaître des théâtres professionnels, des troupes militaires (pour les détachements de la résistance), scolaires, des théâtres expérimentaux, d'essai, de marionnettes; d'autre part des soirées littéraires et musicales clandestines étaient organisées dans des appartements privés — les personnes venant écouter les oeuvres de Chopin ou de Mickiewicz étaient passibles de la peine de mort au cas où elles étaient surprises par les patrouilles de la gendarmerie allemande. Jan Ciecierski, acteur d'un théâtre clandestin, écrit dans ses Mémoires: „La vie artistique clandestine s'épanouissait à Varsovie. De nombreux acteurs récitaient des poèmes dans les logements privés et dans les écoles... Mais ce qui m'étonna le plus, ce fut le concours pour la meilleure oeuvre dramatique. De nombreuses pièces furent envoyées à ce concours... Et pourtant, dans Varsovie occupée, toute activité clandestine était punie de mort. Chaque répétition était une épreuve pour les nerfs. Généralement le

temps consacré à une telle répétition était pris sur le temps du travail; pour répéter on renonçait à gagner son pain”.

Parallèlement à l'activité des théâtres clandestins qui entre temps s'étaient enrichis de „théâtres aux armées” pour ceux du maquis, fut créé un Institut clandestin d'art théâtral qui avait pour but de former des jeunes acteurs. Ainsi Andrzej Łapicki, un des meilleurs acteurs du film et du théâtre polonais contemporains, est un ancien élève des cours clandestins d'art dramatique.

Le théâtre clandestin polonais qui mena son activité pendant toute l'occupation fut un des éléments qui permirent aux Polonais de ne pas désespérer au moment où tout semblait être perdu. A une époque où le Polonais était bafoué, en plein „temps du mépris”, le théâtre fut un refuge où s'exprimait la fierté d'être Polonais et de combattre par les armes et par le verbe pour la dignité et la liberté.



ICI VARSOVIE

Nos lecteurs de langue française s'intéressant à tout ce qui se passe en Pologne trouvent ici les informations que nous essayons de rendre de plus en plus attrayantes. Mais la surface de notre hebdomadaire ne nous permet pas toujours de faire face à tous les événements, d'autre part la production d'un périodique se fait souvent aux dépens de l'actualité la plus brûlante. C'est pourquoi nous rappelons à tous nos Amis qu'ils peuvent en savoir beaucoup plus en écoutant les émissions de Radio-Varsovie destinées tout spécialement aux éditeurs de France, Belgique et Suisse. Ces émissions ont lieu tous les jours aux horaires suivants:

à 12.00 h. sur 19,71 m, 25,42 m (15215, 11800 kc/s)
à 16.00 h. sur 25,42 m, 31,41 m (11800, 9550 kc/s)
à 19.00 h. sur 31,50 m, 41,99 m (9525, 7145 kc/s)
à 19.30 h. sur 25,09 m, 31,45 m, 42,11 m, 50,04 m (11955, 9540, 7125, 5995, 1502 kc/s)
à 21.00 h. sur 31,41 m, 41,18 m (9550, 7285 kc/s)
à 22.30 h. sur 41,99 m, 48,90 m (7145, 6135 kc/s)

Certaines émissions peuvent intéresser tout particulièrement nos lecteurs. C'est ainsi que tous les jours, à midi et 16.00 h., Radio-Varsovie présente l'actualité politique en Pologne et le point de vue polonais sur les grands événements mondiaux. Le mardi à 19.30 et 21.00 h., le Courrier des Auditeurs répond aux questions de ceux qui s'intéressent de près à la Pologne; cette émission est reprise mercredi à 19.00 h. et 22.30.

Les jeunes peuvent se mettre au courant des problèmes de leurs copains de Pologne en écoutant les mardi et jeudi, à 19.00 et 22.30 h., l'émission intitulée Garçons et Filles de Pologne.

Radio-Varsovie émet également d'autres programmes particulièrement appréciés par ses auditeurs. Ainsi, le vendredi, à 19.00 h., et 21.00, vous pouvez écouter Le Monde du Travail, consacré aux problèmes de la classe ouvrière en Pologne. Le samedi à 19.30 et 21.00 et le dimanche à 19.00 et 22.30 h., vous pourrez tout savoir sur la semaine écoulée en écoutant La Semaine en Pologne. Enfin le dimanche à 19.30 h. et 21.00 ainsi que le lundi à 12.00 et 16.00 h. Radio-Varsovie vous présentera ses Messages d'Amitié.

Ces émissions et la lecture de notre hebdomadaire (auquel vous vous êtes certainement abonné pour l'année prochaine) vous permettront de vous faire une opinion plus complète sur la vie en Pologne, ses problèmes et leur solution, son activité et ses réalisations dans tous les domaines de la vie moderne.

Culture d'hier au service d'aujourd'hui

L'ancien château-fort de Swidwin dans la voïvodie de Koszalin vient d'être totalement transformé et adapté en une maison de culture répondant aux besoins d'aujourd'hui. Swidwin, vieille cité slave de la Poméranie tombée entre les mains des Germains dès le XIII siècle, a un château-fort de style gothique qui tombait en ruines. Remis à neuf, les murs médiévaux cachent à l'heure actuelle une maison de culture adaptée à la notion que l'on se fait de celle-ci dans la seconde moitié du XX siècle. Il y a donc une salle de spectacles (avec cinéma), une bibliothèque, des salles de jeu et de concert de musique de chambre ainsi qu'une salle d'exposition. De plus château — maison de culture comprend un hôtel touristique destiné aux visiteurs venus de loin.



Le razy człowiek może zaczynać życie od nowa? To pytanie nieraz musieli sobie zadawać bracia Stanisław i Władysław JASZEWSKY.

Zaczynali je od nowa wiele razy. Po raz pierwszy w 1922 r. Mieli wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat, ręce chętne do pracy, otwarte głowy i więcej nic. Kraj stał u progu wielkiego kryzysu. Nie było w co rąk wczepić ani na jałowej ziemi kieleckiej, ani w rodzinnym mieście Włoszczowej. Zdecydowali się na wyjazd do Francji. W Pont de la Del przez siedemnaście lat pracowali jako hutnicy. W 1939 r. zdecydowali — pora wracać do swoich, do Kraju.

Założyli we Włoszczowej zakład rzeźniczy. Pan Władysław się ożenił. Chcieli wierzyć, że jeszcze raz rozpoczęte życie będzie szczęśliwe i trwałe. Wojna rozwiła iluzje. Cóż z tego, że pierwszy raz pracowali „na swoim”, że nie groził głód? Okupant zaciekle niszczył pokonany Kraj. Nikt ani przez chwilę nie był pewny życia.

We Włoszczowej Niemcy zorganizowali obóz karny. W odpowiedzi na to miasto stało się punktem oparcia dla partyzantów. Toczyły się wokół niego ostre walki. Kielecczyzna wypowiedziała wojnę Niemcom. Tu właśnie walczył już w latach 1939—1945 sławny oddział partyzantów mjr Dobrzańskiego-Hubala. Gdy został rozbity, do walki stanęły rzesze chłopów — „Jędrusie”. Część z nich dom miała w le-



Pan Stanisław Jaszewski, repatriant z Francji i jego bratanek Ryszard cud oglądają na własne oczy

CUD WE WŁOSZCZOWEJ



Tego Domu Kultury mogłaby zazdrościć Włoszczowej niejedna dzielnica Warszawy. Wszystko własną pracą stworzone dla siebie

się, a inni za dnia pracowali na ojczyźnej roli, by nocą dołączać do „leśnej braci”. Zaciekli chłopscy partyzanci pod wodzą miejscowego nauczyciela dawali ciężkie lekcje niemieckim „nadludziom”. Atakując ich zniemacka, tam gdzie Niemcy czuli się najpewniejsi, niszcząc całe oddziały, transporty, przerywając łączność, zadając ciężkie nieuleczalne rany, „Jędrusie” niszczyli zarazem morale wrogiej armii. Niemcy mścili się na ludności cywilnej. Tylko połowa ludności Włoszczowej dożyła końca wojny. Wśród nich państwo Jaszewscy.

Wolność i jeszcze raz życie od nowa. Rodzina powiększyła się o dwóch synów p. Heleny i p. Władysława. Chłopcom nadano imiona Zenon i Ryszard. W 1949 r. państwo Jaszewscy uznali, że prowadzenie zakładu rzeźniczego przestało im się opłacać. Pan Władysław rozpoczął pracę w Gminnej Spółdzielni. Zarobki jego i p. Heleny — ekspedientki w miejscowej drogerii — były wystarczające, by zapewnić rodzinie utrzymanie. Chłopcy rośli, skończyli gimnazjum. Dziś 23-letni Zenon kończy studia inżynierskie na Politechnice Wrocławskiej, a 21-letni Ryszard jest studentem Akademii Medycznej w Łodzi.

Jaszewscy — studenci mają obecnie tyle lat, co mieli Jaszewscy-emigranci. Ojciec osiągnął już wiek emerytalny. Starsi bracia nieraz porównują własne losy z życiem chłopców. Są spokojni o ich przyszłość. To prawda — wyższe studia kończy dziś w Polsce więcej młodych ludzi, niż przed wojną uzyskiwało maturę. Ale czy Stanisław i Władysław w najmniejszych marzeniach mogli liczyć na maturę?

Nie poszły w rodzinie Jaszewskich w niepamięć lata spędzone we Francji. Ryszard w 1969 r. wybiera się na

praktykę medyczną do kraju, w którym jego ojciec spędził siedemnaście lat. Syn dobrze zna francuski. Uczył się go w domu i w szkole. Młodzież polska może bowiem w szkole uczyć się jednego z trzech obcych języków. Zwykle wybiera dwa. Naukę francuskiego Ryszard kontynuował również na lekturze tego języka w Akademii Medycznej. Ma jeszcze jednego „nauczyciela” — jest nią Danielle TORES z Gres, z którą młody adept medycyny prowadzi serdeczną korespondencję.

Tak wyglądają przed i powojenne losy rodziny Jaszewskich. A jak wyglądają dzieje i samo miasto Włoszczowa? Jest to miasto, jakich wiele na polskiej prowincji. Parterowe, drewniane domeczki, ulice, po których nierzadko spacerują krowy. A obok tego wielki twórca bałagan. Ogromne place budowy. Powstają nowe osiedla złożone z nowoczesnych miejskich bloków. Każde nowe — ładniejsze od tego, co przed nim powstało.

JESLI jest w tym mieście coś niezwykłego — to właśnie ludzie. Włoszczowa interesuje się całą prasą polską, ktoś nawet zamierza film o niej kręcić. Bo we Włoszczowej zdarzył się cud. Jaki tam cud w małym prowincjonalnym miasteczku? Przez cztery stulecia, odkąd król Zygmunt Stary nadał mu prawa miejskie, nic ciekawego się nie zdarzyło. Jeszcze u przełomu XIX i XX w. we Włoszczowej było „14 nie brukowanych ulic i 12 naftowych latarni”, aby zacić mieszczanie wieczorem do domu wracając w co większe tylko kałuże wpadali. Handlowano tu wtedy jedynie „na potrzeby własne i nadwyżkami zboża, okowity oraz wełny”. By ponure to bytowanie rozjaśnić, w mieście co dwa miesiące jakiś odpust

się odbywał. To wszystko. Do dnia, w którym bracia Jaszewscy opuszczali Polskę, niewiele się tu zmieniło.

Cud we Włoszczowej? Cud gospodarzy? Gdzież tam! Cud we Włoszczowej — to sami ludzie, jej mieszkańcy. Są tu rzesze malarzy niedzielnych, piszący chłopcy, niezliczone orkiestry, placówki kulturalne w powiecie i mieście. Dom Kultury we Włoszczowej mógłby być dumą mieszkańców każdej dzielnicy Warszawy. Piękny, nowoczesny, powstał w dużej mierze dzięki pracy i hojności mieszkańców miasteczka. Już nie muszą urządzać wypraw do teatru w mieście. To do nich autokarem przyjeżdża zespół teatralny z Kielc.

Piękna sala teatralna o najnowocześniejszym wyposażonym zapleczu służy także zespołom amatorskim. Biegają zaraz po lekcjach do swego domu kultury dzieci. Chłopcy pod czujnym okiem instruktora wściubiają nosy i ręce w pełne tajemnic wnętrza telewizorów. Przyda im się ta praktyka nawet na wyższych studiach. Miło jest spędzić wieczór w pięknej czytelni domu kultury (najciekawsze książki można pożyczyć i czytać w domu do późnej nocy), w przytulnej kawiarence, albo w jednym z dwu panoramicznych kin.

Cud we Włoszczowej — to energia ludzi, którzy nie poprzestają na osiągnięciach gospodarczych, a sami garną się do kultury. Wielu z nich szkołę podstawową kończyło dopiero po wojnie, kiedy uznano, że nie dość było likwidacji analfabetyzmu. Nie ma dziś stanowiska pracy, przy którym mógłby się znaleźć człowiek bez ukończenia 7 klas szkoły podstawowej. Włoszczowianom i tego było mało. Stąd tak



Nawet dla chałupy starość nie radość... A cóż dopiero dla miasta?

wielka ilość artystów amatorów, wszelkiego rodzaju kursów dokształcających w placówkach oświatowych, świetlicach, zakładach pracy. A dzieci Jaszewskich i innych mieszkańców tego miasta i regionu lepszych dróg życiowych nie na emigracji, lecz na wyższych studiach szukają.

Tekst: Halina SŁOMIŃSKA
Zdjęcia: Wojciech ŁASKI



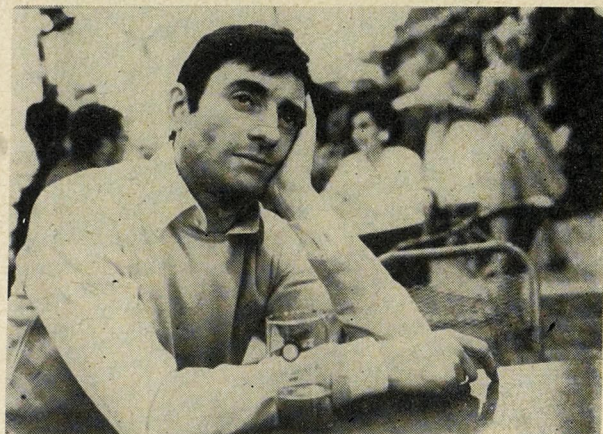
Będzie czysto, przestronnie — to już miasto zrealizowanych marzeń

NOWE

FILMY

NA EKSPANACH

„LE GRAND AMOUR”



Scénario original et dialogue de cette comédie en couleurs sont de Pierre ETAIX (le réalisateur du film) et de son fidèle collaborateur Jean-Claude Carrière.

Principaux interprètes: PIERRE ETAIX (Pierre), ANNIE FRATELLINI (Florence) et Nicole CALFAN (Agnes).

LE SUJET: Un français moyen est marié depuis 15 ans. Sa vie est paisible et un peu monotone, lorsque surgit dans sa vie professionnelle une ravissante demoiselle de 18 ans.



„En guise de scénario” par Pierre ETAIX: „Voici les personnages de mon film. Je voudrais que pour l’instant ils vivent seulement dans votre imagination, car je serais bien en peine de vous raconter leur histoire. Pour cela j’ai en effet écrit un scénario précisément irrécusable et j’entreprends d’en faire un film pour le faire vivre pendant une heure trente minutes devant vous. Je l’espère, pour votre plaisir. Jusqu’à ce que ce film existe, je ne peux que vous les présenter et vous dire dans quel cadre ils évolueront.

PIERRE: Entre 1950 et 1955 Pierre a vingt-cinq ans, les cheveux en brosse, l’air juvénile. Et il se marie avec Florence’ il y avait aussi Martine, Irène, Thérèse, Christine... Il aurait aimé être musicien, aviateur, prêtre même, mais se retrouve dans l’usine pleine de fumée de M. Girard.

De nos jours: Pierre a vieilli, ses cheveux sont assagis; il porte parapluie.

FLORENCE: Fille unique des Girard. Bien élevée, douce, exquise, toutes les qualités. Mais quelquefois Pierre a l’impression de vivre avec Mme Girard, la mère de Florence.



AGNES: Elle a dix-neuf ans. De long cheveux bruns, des yeux très bleus. Elle est ravissante.

Madame GIRARD: C’est une femme forte. Dans les grandes occasions, porte aigrette et voilette, téléphone tous les jours à sa fille. Une femme tout à fait charmante.

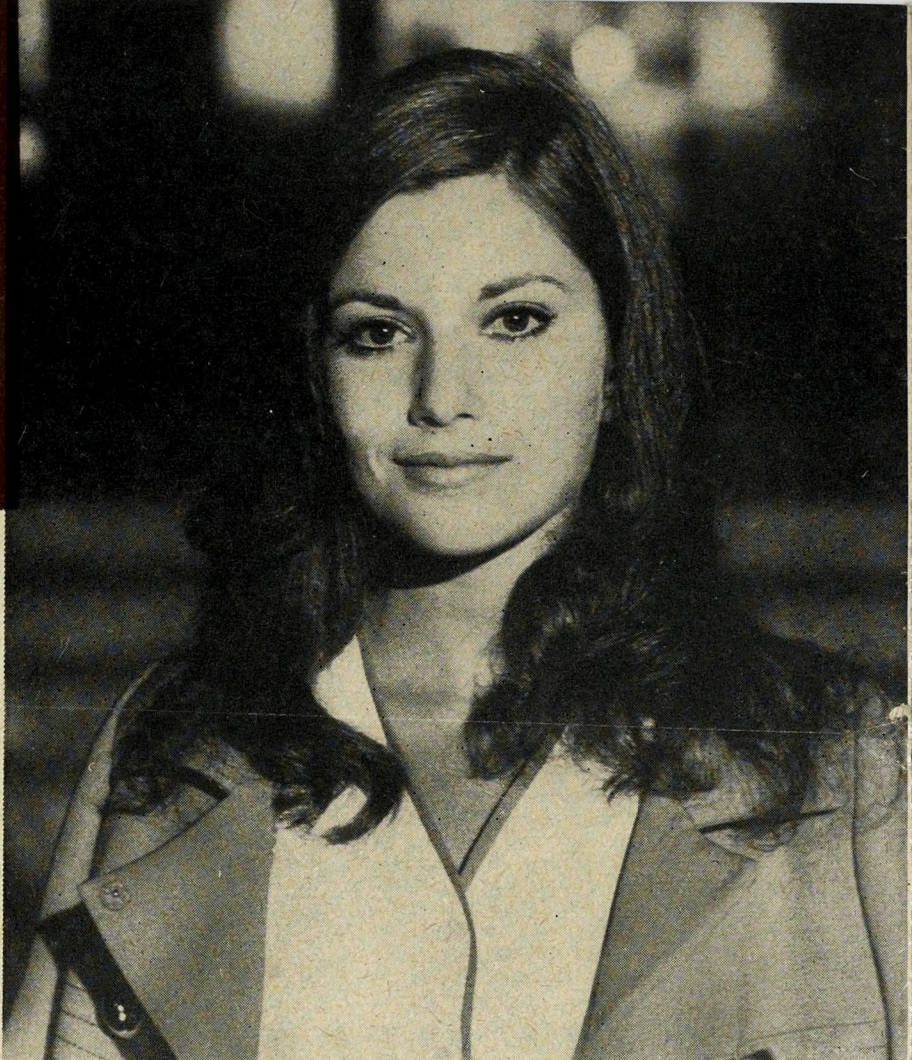
Monsieur GIRARD: Il est industriel dans une ville de province. Impassible, c’est un meuble, son violon d’Ingres c’est le violon. Un homme tout à fait charmant.

JACQUES: Il est un peu plus âgé que Pierre. C’est un donneur de conseils, sentencieux, sûr de lui et ironique. Il est peut-être bien représentant de commerce.

Madame LOUISE: Quarante ans, un peu forte, portant lunettes. Elle a toujours été secrétaire.

Le DECOR: Une ville de province; le jardin public; la cathédrale; l’usine; un appartement désuet, des meubles anciens de tous styles, voir même 1925.

LES ACCESSOIRES: Cinq cents lits; des photos de famille; une vache emmaillottée; un piano, un pick-up, un fauteuil club, un 45 tours... coupé en deux; une addition; une tarte; un téléphone; des pantoufles”.



Nicole Calfan, dont „Le Grand Amour” est le premier film, est d’origine polonaise (par sa mère)

